



Johnny Winter Roots

Megaforce Records 2011

Muzyka: ●●●●○

Realizacja: ●●●●○

Mistrz slide'owej gitary znów w dobrej formie. Nie tylko słyszymy popisowe, choć nieco wolniejsze niż dawniej, solówki, ale też powrócił znany głos. W repertuarze sprawdzone kompozycje, na których słynny albinos ćwiczył umiejętności. Jest temat „Got My Mojo Working”, wylansowany przez Muddy Watersa. Jest „Maybelline” Chucka Berry'ego. Na początek jednak „T-Bone Shuffle”, wprowadzający w nostalgiczną atmosferę albumu.

Kompozycje pochodzą z połowy ubiegłego stulecia. Mimo że ograne, udało się je uwspółcześnić. Zasluga to zarówno sprawnej ekipy realizatorskiej, jak i zdolnych wykonawców. Johnny Winter zaprosił bowiem do studia znanych gości. Wspomniany utwór „T-Bone Shuffle” nadaje płycie tempo nie tylko dzięki gitarze Wintera. Błyszcą w nim także solówki Sonny'ego Landretha. Z kolei w „Done Somebody Wrong” pojawia się lider Gov't Mule, Warren Haynes. Mamy też bluesowy duet Derecka Trucksa (slide w „Dust My Broom”) z Susan Tedeschi (gitara i śpiew w „Bright Lights, Big City”). A gdyby komuś zabrakło jazzowych elementów, to w „Come Back Baby” może posłuchać Johna Medeskiego. Nie byłoby jednak kompletu bez brata lidera, Edgara. Ten gra na saksofonie w „Honky Tonk”. A wszystko trzyma w ryzach Johnny Winter, który mimo podeszłego wieku pozostaje w świetnej formie. ■

Grzegorz Walenda



Kate Bush 50 Words For Snow

Noble & Brite Ltd. 2011

Muzyka: ●●●○○

Realizacja: ●●●○○

Jeśli to nie jest najnudniejsza płyta Kate Bush, to przynajmniej plasuje się w czołówce. Otwierające „Snowflake” uściło mnie przy pierwszym odtworzeniu, więc nie mogłem wysłuchać kolejnych nagrań. Dopiero za drugim podejściem – po mocnej kawie – pokonałem całość.

Nie twierdzę, że było aż tak źle, ale jak na artystkę, której zawdzięczamy „Wuthering Heights” i wiele innych wspaniałości, zdecydowanie zbyt blado. Gdyby nie Elton John, który fantastycznie ożywił kompozycję „Snowed In At Wheeler Street”, ocena byłaby jeszcze niższa. Ale przynajmniej dla tej piosenki warto albumu posłuchać. Trochę też po to, aby przypomnieć sobie uroczy głos Kate. I wreszcie dla jeszcze jednego wyjątkowego gościa. Jest nim Steve Gadd – najbardziej rozchwytywany sesyjny perkusista w muzyce rozrywkowej. Grał z największymi. Duet Simon i Garfunkel oraz Barbara Streisand to tylko część gwiazd, które gościły go w studiu lub na scenie. Na „50 Words For Snow” słynny palkarz trochę się marnuje, bo wolno płynące kompozycje nie wymagają szczególnych umiejętności, jednak tu i ówdzie coś z jego talentu udało się przemycić. ■

Grzegorz Walenda



Wilco The Whole Love

dBpm Records 2011

Muzyka: ●●●●○

Realizacja: ●●●●○

Komuś, kto dotąd nagrań Wilco nie słyszał, polecam na początek dwupłytowy album „Being There” z 1996 roku. Sporo tam nastrojów przypominających The Rolling Stones z najlepszego okresu. Nowa propozycja zespołu – „The Whole Love” – zawiera wyłącznie utwory utalentowanego lidera, Jeffa Tweedy. Daleko jej jednak do wydawnictwa sprzed kilkunastu lat.

W soczyste rockowe rytmy, grane na ogół przy akompaniamencie akustycznej gitary, wkraśl się tym razem grunge'owy klimat. Niektóre nagrania „zabrudzono” szumami i przesterowaniami. Szkoda, bo głos wokalisty jest na tyle wciągający, że nie potrzebuje dodatkowych atrakcji. W balladzie „Sunloathe” dodano jakieś dziwne dźwięki do podkładu instrumentalnego. Po niej jest „Dawned On Me”, też z przesterowaniem na powitanie. Taka konwencja. Liderowi spodobała się zabawa dźwiękiem, a kole-dzy musieli się w nią włączyć.

Na szczęście Tweedy nadal potrafi zaserwować sympatyczną, akustyczną balladę, gdzie na pierwszym planie są jego głos i gitara („Open Mind”). Umie też poartować, jak w „Capitol City”. Wreszcie – stać go na „Whole Love”, czyli świetnie zaaranżowany i wpadający w ucho utwór tytułowy. Ciekawego materiału jest tu więcej. Nic dziwnego. W końcu to Wilco. Tyle że nie w szczytowej formie. ■

Grzegorz Walenda



Pati Yang Wires And Sparks

EMI 2011

Muzyka: ●●●○○
Realizacja: ●●●○○

„Nasz człowiek w Londynie”, czyli Patrycja Hilton, znana lepiej jako Pati Yang, powoli odchodzi od kojarzonego z jej twórczością trip hopu. Na „Faith, Hope + Fury” z 2009 roku było go mniej niż na „Silent Treatment” z 2005. Na najnowszym krążku nie słyhać go już w ogóle.

Zamiast wolnych, niepokojących bitów „Wires And Sparks” wypełniają dominujące syntezatory, proste rytmy i przestrzenne wokale. We fragmentach, takich jak singlowy „Near to God”, muzyka przenosi się wprost w rejony elektronicznego popu. Szczęśliwie, elektro-pop w wersji Yang nie jest znanym z komercyjnego radia produktem muzykopodobnym. Wokalistka nie popada w banał ani nie modyfikuje swojego głosu, by brzmieć jak cyborg. Innymi słowy, nawet w takiej formie potrafi poruszać się z pewną klasą! Ale czy ta zmiana stylistyczna to krok w dobrym kierunku?

Roman Polański skarżył się kiedyś, że najłatwiejszym sposobem na zwiększenie grona sympatyków jego filmu jest nakręcenie kolejnego. Po premierze nowego obrazu zawsze słyszy: „poprzedni film Polańskiego był lepszy”. Niestety, właśnie takie odczucia mam względem Pati Yang. Może część słuchaczy z zadowoleniem przyjmuje przebieg jej muzycznej drogi. Ja zaliczam się do grona tych, którzy woleli, gdy tworzyła lawirujący w stronę nowoczesnego jazzu trip hop. ■

Bartosz Szurik



Lenny Kravitz Black And White America

Roadrunner Records 2011

Dystrybucja: Warner Music

Muzyka: ●●●●○
Realizacja: ●●●○○

Nie ma jak czasy „Let Love Rule” (wystrzałowy debiut) czy „Mama Said” (rockowa perełka). Ale i na „Czarno-białej Amerce” każdy fan Kravitza znajdzie coś dla siebie. Tym bardziej, jeśli miał okazję posłuchać go na niedawnym warszawskim koncercie.

Niestety, najnowszy album słynnego rockmana nie jest taki, jak pierwszy, który podbił nasze serca i daleko mu do „Mama Said”. Wprawdzie słyszymy wszystkie firmowe zagrywki: łatwo rozpoznawalny wokal i charakterystyczne gitarowe riffy, ale czegoś brakuje. Owszem, bywa świetnie. Przykładem „Life Ain’t Ever Better Than It Is Now” (jeden z ciekawszych kawałków); nieźle pulsują też „Everything” i utwór tytułowy. A jeśli ktoś tęskni za miłosnymi balladami, ma „Looking Back On Love”. Mimo to nowe piosenki Kravitz’a nie porównują tak, jak wcześniejsze propozycje.

Szkoda, bo muzyk napracował się w studiu. Grał na kilku instrumentach i jest współautorem większości kompozycji.

W tekstach sporo o sobie opowiada, jest więc okazja, aby lepiej go poznać. Zaprosił nawet do współpracy gwiazdy hip-hopu – Jaya-Z i DJ Military („Boogie Drop”) oraz Drake’a („Sunflower”). Mimo to chciałoby się więcej magii. W końcu to Kravitz. ■

Grzegorz Walenda



Mastodon The Hunter

Roadrunner Records 2011

Muzyka: ●●●●○
Realizacja: ●●●●○

Trzynastominutowa kompozycja zamykająca poprzedni album grupy Mastodon to, moim zdaniem, jedno z najlepszych rockowych nagrań ostatnich lat. A już z pewnością w kategorii progresywnego, ciężkiego rocka. Słuchając jej raz za razem, nie przestawałem się zastanawiać, co też Amerykanie zaproponują na kolejnej płycie. I oto nadeszła odpowiedź: album „The Hunter”.

Piąty longplay Mastodona jest pierwszym spoza cyklu ich płyt odpowiadających poszczególnym żywiołom. Przynosi zatem kilka zmian. Nie jest zwartym tekstowo „concept albumem”, a wypełniające go kompozycje mają bardziej „piosenkową” strukturę niż rockowe suites z czasu „Crack the Sky”. Utwory takie jak „Curl of The Burl” nawiązują raczej do klasycznego, brudnego hard rocka niż pełnego połamanych rytmów i niesztampowych melodii eksperymentalnego grania. Co więcej, tytułowa piosenka okazuje się nastrojową balladą, dedykowaną pamięci brata Brenta Hindsa. Czyżby Mastodon postanowił złagodzić swój styl?

Nawet jeśli prog-rockowych elementów jest tu mniej, to nie znaczy, że panowie poszli na łatwiznę czy zmienili się nie do poznania. Niejednokrotnie na „The Hunter” pojawiają się charakterystyczne złożone partie gitar i szalone pasaże perkusyjne Branna Dailora. Również współgranie trzech wokali nie pozostawia złudzeń: „The Hunter” to stary dobry Mastodon. ■

Bartosz Szurik